
PRZEDMOWA

Niniejsza książka nie jest parafrazą, ani też „na obraz i podobieństwo” bardzo znanej i milej mojemu sercu książki Karola Olgierda Borchardta pt. *Znaczy Kapitan*. Jedyłą myślą przyświecającą mi podczas powstawania tej książki było opisanie i wspomnienie ludzi zatrudnionych na następcy starego „Batorego” – na pokładzie tss. „STEFAN BATORY” w latach 70. ubiegłego stulecia. Wiem i zdaję sobie doskonale sprawę, że wielu spośród moich byłych kolegów, przyjaciół, a także serdecznych „wrogów” nie będzie mogło się wypowiedzieć na temat treści tego dziełka, gdyż wszechwładna i onnipotentna Matka Natura zabrała ich na zawsze z naszych szeregów. Tym i wszystkim Czytelnikom daję w tym miejscu uroczyste słowo honoru, że będę starał się pisać w miarę obiektywnie, nie prowokując niepotrzebnych napięć – w i tak już zmienionym społeczeństwie. Podkreślam jednakże, iż obiektywizm w moim pojęciu może czasami być drwiną, cynizmem, nabijaniem się, żartem czy „czarnym humorem” – lecz zawsze fair – oto moja zasada życia. Dlaczego „znaczy, czerwony pajak”? Z ogromnej perspektywy czasu ponad ćwierćwiecza życia ludzkiego patrząc – śmiało można by powiedzieć, iż wiele emocji, chwilowych animozji, furii zjawisk natury, z którymi musieliśmy współegzystować, pojedynków politycznych oraz sytuacji krytycznych – wszystko to – przybladło

niewiele z biegiem czasu; jednakowoż faktem historii polskiego morza pozostaje – z lekka po macoszemu potraktowana przez autorów oraz byłych członków załogi – historia polskiego transatlantyku tss. „Stefan Batory”, zwanego wtedy przez nas, członków załogi, po prostu „Stefkiem”. Mój Boże, ileż to lat upłynęło już od chwili, kiedy po raz ostatni widziałem ten statek! Był to chyba rok 1984 w porcie w Rotterdamie; byłem wtedy „gościem” w kolebce Holland America Line – i tam, gdzie kiedyś dumny, twardy i rogowaty tss. „Maasdam” (później odkupiony i odświeżony oraz przemianowany staraniem PLO na „Stefka”) miał swe strategiczne leże w podróżach do Indonezji i Ameryki Północnej. Był wtedy ten statek, pomimo systemu komunistycznego – wtedy epoki „gierkowszczyzny” – jedynym łącznikiem pomiędzy Wschodem a Zachodem. Z jednej strony należało utrzymywać łączność pomiędzy obu brzegami „Wielkiej Wody”, z drugiej zaś – prawie chyba nigdzie indziej niż na tym statku – „czerwona nawała” hamowała rozwój myśli, krępowała ludzkie czyny i pętała umysły. W książce tej chciałem podkreślić, iż pomimo „czerwonych pajaków” (kąsających nas niemiłosiernie), szereg młodych, wspaniałych ludzi tworzyło już WTEDY załazek morskiej „Solidarności”, gdzie nie bano się używać odważnych słów, gdzie czyny „młodych gniewnych” zaćmiewały sławę czerwonych kacyków, będących WTEDY u władzy na pokładzie naszego transatlantyku. Dla mnie jako autora jest to więc powieść autobiograficzna. Część mojej młodości spędziłem na pokładzie tss. „Stefan Batory” jako członek załogi, gdzie udało mi się dokładnie przyjrzeć mechanizmom władzy „czerwonych pajaków” i rodzącym się nowym strukturom opozycji politycznej. Jakie było to ciężkie zadanie i czym okupione – o tym później. Wiem, że ludzie, których tu wspomnę, w dużej części odeszli już na „wieczną wachtę”, inni klepią biedę z miniemerytur w barach Trójmiasta, wielu, jak ja – wyemigrowało, służyło lub nadal służy na obcych banderach lub towarzystwach lotniczych. Są natomiast jeszcze inni – „czerwoni pajęczarze”, ci, którzy z uporem niszczyli początki ruchu solidarnościowego na „Stefanie” i do dzisiaj w dalszych pokoleniach „młodych, różowych pajaków” żyją w dostatku schedy komunistycznego dobrobytu. Chcę przy tym zaznaczyć, że książka niniejsza nie jest

przeznaczona jakimkolwiek celom odwetu, żalu, czy późnej zemsty. Będą przedstawione Czytelnikom fakty bez komentarzy, zostawiając uwagi Ich ocenie. Aczkolwiek nieraz trudno być obiektywnym narratorem zdarzeń tu opisywanych – nawet po prawie trzydziestu latach. Ale czas uchylić rąbka tajemnicy. Kurty(za)na historii w górę!!!

Chciałbym dodać, że być może żyją jeszcze CI, którzy oczekiwali i oczekują na tę książkę; Ci nieznani – niepewni jutra, którzy czynem, gestem lub słowem pomagali mi w zmaganiach z molochem komunizmu – tak dalekim od szczytnych celów łąciństwa, w którym my wszyscy – chcąc nie chcąc – żyjemy i żyć musimy.

Teraz nadszedł ten moment. Książkę tę Wam – z głębi serca – polecam.

Od Autora

Serdecznie dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do tego, iż ta książka mogła ujrzeć światło dzienne. Wieloletni pobyt poza granicami Polski i praca wśród ludzi wszystkich cywilizacji, kultur oraz światopoglądów wcale nie ułatwiła mi przygotowania tej serii moich wspomnień ze „Stefka”. Jeszcze raz serdeczne dzięki...

Książka podzielona jest na kolejne rozdziały według intencji autora – z dala od zdarzeń chronologicznych. Osoby opisane w tej książce są w większości mile mojej pamięci, lecz nie zawsze. Staram się nie krytykować, zachowując raczej „ponadczasową” neutralność.

Życzę wszystkim Czytelnikom przyjemnej lektury.

Dla Stonogi, Karoliny, Henia, Paula M. i Douglasa H. za wniesioną pomoc – ze słowami szczególnej miłości – Autor

„BIEGUNKA – CZYLI WARSZAWSKI »EXPRESS WIECZORNY« Z DNIA 23 CZERWCA 1970 R.”

Właściwie tego dnia nie zapomnę do końca życia, gdyż miał on decydujące znaczenie dla czasów mojej wczesnej młodości. Zaczęło się wszystko trywialnie: od zbyt łąpczywie zjedzonych truskawek, do nagłej biegunki i – co nie jest bez znaczenia – imienin mojej ciotki Wandy. W owych czasach byłem młodym, zdolnym człowiekiem; dwudziestodwulatkiem o dobrym zdrowiu, znającym kilka języków, z pewnym obciążeniem polityczno-historycznym, pełnym złudnych nadziei, no i oczywiście z głową pełną planów. Był dzień 23 czerwca 1970 r. – ze względów historyczno-politycznych tego dnia nie zapomnę nigdy. To był TEN dzień, który zdecydował o mojej karierze i życiu, pracy „poza” domem, krajem, rodziną, „małą ojczyzną”, jak to lubią mówić niemieccy pisarze. TEN dzień przysłonił – ponad trzydzieści lat temu – smugą swego światła i cienia cały niemalże mój osobisty żywot. Jest życiową prawdą, iż jeden tylko dzień, ów jedyny, decyduje i zmienia ludzką drogę nieodwołalnie – niezależnie od wieku, kraju urodzenia, zamożności lub koloru skóry. TEN jeden dzień przeżywa każda istota na Ziemi, gdyż takie jest prawo

Stwórcy, od którego nie ma dla nikogo odwołania – nigdy i nigdzie. Od TEGO dnia nie uchroni nikogo również żaden ustrój – dobry lub zły.

Były więc imieniny Wandy, mojej wspaniałej warszawskiej cio-ci. Z małymi przerwami mieszkalem od urodzenia w Stolicy, gdzie pobierałem nauki, obrywałem pierwsze ciosy i kochałem się – jak każdy z nas. Nie bardzo wiem, co mnie napadło, żeby najeść się, w lekkomyślnym nadmiarze, truskawek. Były pachnące, piękne, cudowne w swej słodkości, niemające sobie równych, nigdy już więcej tak nie smakowały. Zjadłem z kilogram. Niestety, nie były umyte. Pech chciał, a doktor mądra głowa – gdyby takowy istniał – rzekłby:

– Chłopcze, zostaw, umyj najpierw ręce, a potem truskawki. – Niestety, ja takiego głosu rozsądku nie posłuchałem.

Skutek był natychmiastowy. Moja mama coś mi jeszcze przykazywała, by ładnie się ubrać na ciocine imieniny i koniecznie założyć krawat – ja zaś w najwyższym alercie zdążyłem złapać jeszcze „Express Wieczorny” z dnia 23 czerwca – popularną warszawską popołudniówkę – i jak burza wpadłem do czarującej komnaty jednoosobowego dumania. Ból i przebieg były bardzo gwałtowne. Minęły też błyskawicznie. Za pięć minut znowu cudownie ozdrowiałem. Nie tak jednak szybko, by nie otworzyć „expresiaka” na ogłoszeniach. Uwagę moją skupiło ogłoszenie będące kwintesencją marzeń każdego chłopaka. Było ono także efektem chorobliwego „ekskluzywizmu” pewnych warstw dających „owo” ogłoszenie i czaru gdańskiej inteligencji. Ogłoszenie brzmiało następująco:

POLSKIE LINIE OCEANICZNE Przedsiębiorstwo Państwowe poszukuje kandydata na stanowisko oficera rozrywkowego na pokładzie tss. „Stefan Batory”. Wymagane warunki: wykształcenie wyższe artystyczne lub ekonomiczne. Wiek do lat trzydziestu (ja miałem wówczas dwadzieścia dwa), biegła znajomość w mowie i piśmie języków: angielskiego, holenderskiego i niemieckiego. Podania prosimy kierować na adres PLO PP Gdynia, ul. 10 Lutego 24... itd., itp.

Krótko, sportowo i diabelnie „bizantyńsko”, bo kto do lat trzy-

dziestu w „komunie” mógł znać biegle te trzy języki – do kupy. Ja – przyznaję zupełnie bez bicia – po przeczytaniu tej enuncjacji prasowej – zdrętwiałem. A więc smak Wielkiej Przygody. Przygoda w okresie mojego bardzo młodego i jeszcze niezbyt dojrzałego życia. Szansa, którą trzeba było koniecznie wykorzystać. Jedna jedyna i niepowtarzalna. Na takie ogłoszenie prasowe – pracownicy poszukiwani – można by w PRL-u czekać, przeżywając pięć żyć. Ba, nawet na zgniłym Zachodzie takich ogłoszeń nie dają, gdyż w tej formie i one są pod ładą „dla tych lepszych i tych jeszcze »lepiej-szych«, aj... aj... waj...”. Hermetycznie (niezupełnie już wtedy dla mnie) zamknięty świat otwiera się w najpiękniejszych barwach na oścież. Nie zapomnę tego upalnego wieczoru nigdy. Mimo dość wczesnego wieku – wbrew tradycji ówczesnych „rządzących” – od planu do realizacji był krok i jedna sekunda. Po „ciężko” przebytej „chorobie truskawkowej” i odświeżeniu się, należało zgłosić swój akces i odpowiedzieć na to cudowne, jednoznaczne i stawiające tak wysokie przeszkody (dla przyszłego kandydata/ki) ogłoszenie. Można śmiało powiedzieć, iż już wtedy jakiś głos wewnętrzny wskazywał mi drogę postępowania. Dziś, po latach, mogę śmiało powiedzieć, że był to głos Ducha Świętego inspirujący mnie do działania i tak ogromnie wpływający na ludzkie życie, choć z drugiej strony – jednocześnie – ostrzegający mnie. Jednak ja, młody człowiek, miałem wtedy inne zmartwienie. Stara, po-ojcowska, adwokacka maszyna do pisania typu „Olympia” rocznik 1920-któryś, aczkolwiek zdatna do użytku – wybroniła wszak niejednego pijaczka przed dodatkowymi paroma miesiącami „odsiadki” – nie nadawała się atoli do wysłania pisma do Wielkiej Przygody. Sięgnąłem tedy do mego młodzińskiego czaru „zalotności”, którego nie wyzbyłem się do dzisiaj, choć siwy włos i nie to zdrowie – i podrażniona niczym „Błękitna Fala” do czarującej mojej sąsiadki, p. Bilińskiej, piętro niżej, szczęśliwej posiadaczki prawie nowej maszyny do pisania typu DeDeRon czy Optima – coś tym guście. Przypominam sobie dobrze, że moja czarująca sąsiadka dowiedziała się o treści pisma i o moim marzeniu, które tak cudownym zrządzeniem losu miało się w niedługiej przyszłości ziścić. Pismo moje, zawierające podanie o pracę na „Stefku”, oraz litania – wykaz dokumentów – były oszczędne w słowach.

Sąsiedzi moi, pp. Bilińscy, życzliwie odnieśli się do mojej osoby. Przemili ludzie. Pismo – mój pierwszy kontakt z Wybrzeżem, Linią Okrętową (takie rzeczy było wtedy lepiej pisać dużymi literami) i statkiem zostało pobłogosławione kieliszkiem likieru miętowego i następnego dnia skoro świt wysłane do Gdyni listem poleconym. Gwoli wierności zdarzeń historycznych dodać należy, że przyjęcie imieninowe u cioci Wandy udało się wspaniale. Ze dwa tuziny wujków i cioć, reakcyjnej „elity nieznanego nikomu bliżej” Powstania Warszawskiego 1944 r. i hold, oddany tym lotnikom, którzy mieli na rękawach napis POLAND i brytyjski krój mundurów. A wszystko to, napędzane likierami i koniakami oraz cudownymi babeczkami z żółtym kremem oraz truskawkami, tchnęło duchem starego „Batorego” i tych morskich przygód – przeważnie tych przedwojennych (lepszyc).

I ja już wtedy czułem, że niebawem stanę się świadkiem tych przygód, wesołych, roztropnych, z lekka „podświntuszanych”, świadkiem cudów natury stworzonej z nieba i wody, jak również rzeczy „nadzwyczajnych”, na które czekałem z otwartą przyłbicą. Moi Rodzice nie objawiali tego – atoli na ich twarzach pojawił się cień strachu o syna. Bardzo możliwe, że ich systemy wczesnego psycho-genetycznego, można by powiedzieć „elektronicznego”, intuicyjnego wczesnego ostrzegania zapaliły u nich lampki koloru czerwonego.

Lato tego roku było piękne. Sen o morzu, o „Stefanie Batorym”, ten kult życia na morzu na pokładzie polskiego transatlantyku był marzeniem każdego co bardziej roztropnego młodzieńca w moim wieku, przynajmniej marzeniem nocnym lub „wzdychanym” do uszka ukochanej panienki. Faktem jest, iż pod koniec czerwca 1970 roku miałem szansę przybliżyć się do tego celu. W tamtych, odległych już czasach, liczyło się wiele elementów i nie było zupełnie wiadomo, które w ostatecznym rozrachunku przeważą szalę. Tutaj zauważcie, że zrobię prawdziwy rachunek sumienia... tak zupełnie, jakbym otworzył przed Wami duszę trzydzieści parę lat temu. Ogłoszenie PLO było lapidarne. Mógł zatem zgłosić się każdy Polak z ulicy. A jednocześnie zastrzeżone było wręcz horrendalnymi warunkami umowy. Już na owe czasy – powtarzam z uporem – znałem biegle wymienione trzy języki zachodniogermańskie. Mama urodzo-

na, het, nie w Polsce, lecz jeszcze w Prusach, z ogromną przymieszką krwi junkierskiej, z zapalem i z furią uczyła mnie i moją bliźniaczkę siostrzyczkę niemczyzny na równi z kanonami ładnej, poprawnej, „z dobrego domu”, nie chamskiej polszczyzny. Był to okres początku lat 50., a więc pół wieku temu – o Boże, jak ten czas leci. Mnie zdarzało się to rzadziej, ale bliźniaczkę częściej, że wymowa i składnia niemiecka nie bardzo wchodziła w polskie gardło – nasza krewka, wspaniała i piękna Mama niekiedy uciekała się do pomocy mokrej szmaty (Feuchtlappenmethode), co przyznaję – bardzo poprawiało ogólny stopień opanowania gramatyki i słownictwa u nas obojga. Nasza piękna, arystokratyczna Mama (do późnej starości była piękną i światłą kobietą) zadbała więc wszystkimi niemalże środkami, by nasza (moja i siostry) niemczyzna reprezentowała poziom zdecydowanie powyżej średniej krajowej. Wdzięczność należy się przeto mojej Mamie, aczkolwiek zbyt „agresywna” niemczyzna w naszej rodzinie (po stronie Mamy) powodowała jakże słuszny bunt dozorcy p. Stasia-alkoholika, który w odwecie za mamine nauczanie traktował mnie i siostrę „lotem kosmicznym miotły dozorcowskiej” w naszej drodze ku edukacji szkolnej każdego dnia około siódmej trzydzieści z rana. Ciekawe, a zarazem trudne czasy wiodły mnie i bliźniaczkę do poprawnej niemczyzny.

Główny warunek językowy: angielski. Któż by miał czelność nauczyć się poprawnie w mowie i piśmie po angielsku? Znałem mnóstwo różnych „dukaczy” angielskiego, dzisiaj byśmy ich nazwali „pretenders”. Dukąła telewizja, dukąło radio, śmiał mówić jakiś podróżnik – redaktor światowy, ten zasłużony dla Bieruta i jego popleczników poprzez Gomułkę i Gierka... aż do dzisiaj chyba działa ten towarzysz – czar PZPR-u... choć ma ze sto lat chyba, ale łeb ma jak „kapusta w listopadowy poranek”. Byli towarzysze, którzy wyjeżdżali w podróże, byli redaktorzy polityczni, którzy opanowali kulisy sztuki wymowy i pisowni języka Albionu i Disneylandu, ale z uporem nie potrafili powtórzyć polskiej literki „r”. Znamy, znamy...

No więc skąd, i z jakich powodów polityczno-ideologicznych ja poniżej „trzydziestki” miałbym znać dobrze angielski? Można było jeszcze zrozumieć – pod względem walki ideologicznej – uczyć się an-

gielskiego, ba, być „po tamtej stronie”, by bezwzględnie zniszczyć bakcyła wrogiej ideologii. Ale, ale, przecież mając te dwadzieścia dwa lata, byłem nieco za młody na „szpiona z Ostbloku”. Trudno, wartość historyczna mojego wynurzenia wymaga prawdy i tylko prawdy. Już od dzieciństwa rodzice nasi (moi i bliźniaczki) oprócz uprawiania maminej „germanizacji podwórkowej” (Warszawa, ul. Marszałkowska 62 – stara studnia, z cudną Madonną Powstańczą na środku podwórka, gdyby znalazł się reżyser – napisałbym scenariusz zupełnie jak żywcem wyjęty z VICE VERSY genialnej, nagrodzonym filmowym Oscarem powieści Günthera Grassa pt. *Blaszany bębenek*) zapragnęli nam wpoić ducha języków obcych. Tak więc, poza super obowiązkowym niemieckim, były początki francuszczyzny, był też angielski pod kierownictwem „Madame Butterfly”. Nic owa nauczycielka nie miała w sobie z wzoru opery Pucciniego, była natomiast wielbicielką „gotowanych – nadzwyczaj smacznych – maminych obiadów”, w zamian za co – owa przeze mnie nazwana „Madame Butterfly” wkuwała nam przez parę lat kanony alfabetu angielskiego, gdyż jest on w istocie rzeczy trudny do wymowy – no i gębę trzeba tak głupio wykrzywiać, że aż wstyd mówić. Mama krążyła wokół nas podczas zajęć, tak że nawet trudno było łypnąć okiem na podwórko, a rower aż „piszczął” – tak rwał się do drogi. Dalszy mój etap „dobrej angielszczyzny” zawdzięczam wspianiałemu nauczycielowi Szkoły Metodystów, niejakiemu Michałowi Pęksie. Gdyby dzisiejsze, pokomunistyczne władze mogły (i chciały) nadać komuś największy medal – powiedzmy „podwójnego” Orła Białego (towarzysze, tu mówię bez aluzji politycznych) – to należałby się on temu człowiekowi. W latach 60. ów Michał potrafił zaszcześcić u uczniów nieodwołalną miłość do spraw brytyjskich, kultury i języka. Na miejscu Jej Królewskiej Mości Elżbiety II mianowałbym Michała – jeżeli przebywa jeszcze w zdrowiu, a tu szę, że tak, bo parę lat temu wypiliśmy jeszcze kilka pięćdziesiątek w „Ambasadorze” – kawalerem „Orderu Imperium” za jego wspianiałą pracę w tym „okresie”. Szkoła Metodystów w Warszawie była – powiedzmy sobie szczerze – kolebką nowych pokoleń opozycji przedsolidarnościowej i kuźnicą dobrej, tradycyjnej angielszczyzny

młodzieży warszawskiej okresu powojennego. Chwała Ci i dzięki, Michał...

Do porządnej nauki języka angielskiego przyczynił się również mój przyjaciel, Michał, w sposób niebezpośredni – ale za to rzucający cię do końca mojej sprawności intelektualno-politycznej. Po każdej pogawędce lekcyjnej, również u Metodystów – ze znanych tylko sobie źródeł – wydobywał ów ideologicznie czysty człowiek coraz to nowe wydanie „Newsweeka” – atlantyckie i oczywiście po angielsku. Minęło trzydzieści pięć długich lat od tej chwili – aż do dzisiejszego dnia leży na moim nocnym stoliku, zawsze na honorowym miejscu nowy – z tygodniowym wyprzedzeniem – numer tego popularnego amerykańskiego czasopisma. Nie muszę dodawać, że za czasów tow. Gomulki i tzw. komuny ów imperialistyczny tygodnik był na czarnej liście. Teraz, z perspektywy czasu, Wielkiego Pontyfikatu Polaka, Jana Pawła II, oraz kompletnego upadku myśli komunistycznej – wiem dlaczego. Zdaję sobie sprawę, że w roku 1964 lub 1965 czytanie artykułów o operacjach na żywym mózgu oraz tysiącach nowinek techniki USA nie było dla mnie zbyt łatwą lekturą. Teraz myślę, że młodzież ma pod tym względem znacznie lepiej. Skoro więc w imię rozwoju PRL-u ujawniłem Wam, Drodzy Czytelnicy, rąbek prawdy o nauczaniu języków obcych w latach 60. i 70., musimy wszyscy zgodnie dojść do wniosku, że całkowita izolacja kraju od Zachodu uniemożliwiała poprawną naukę języków zachodnich. W tym też czasie moje babcie, ciocie i kuzyneczki z AK (może już ktoś słyszał), ze wspomnianego już Powstania Warszawskiego – zaczęły masowo wymierać, więc żywy kontakt z językiem był prawie niemożliwy. Jeżeli chodzi o moich śp. Rodziców, to muszę przyznać, iż promowali oni (że użyję nowomodnego słownictwa) moje wysiłki w celu poznania języków „wrogów imperialistycznych” zza Odry – mających niechybnie zakusy na moją niewinność chłopięcą oraz niezachwianą wiarę w wielki Związek Krajów Rad. Gwoli wierności tego sprawozdania – „Stefan Batory” szybko wyleczył mnie z cnoty chłopięcej i miłości do ZSRR. I tu w tym punkcie dochodzimy do sedna sprawy – przyczyny, dla której zamustrowano mnie na statek „Stefan Batory” w wyniku bizantyńsko-skomplikowanego ogłoszenia – przyczyny leżącej głęboko w tajnych aktach... UW,

a może SLD, a może... pssst, nawet nie wolno mi tego wypowiedzieć... wypisać... Sednem sprawy i przyczyną mojej kariery na morzu jest język holenderski. Toć to przecież i dzisiaj każde SLD-owskie średnio rozwinięte dziecko wie, że jest taki kraj na świecie, który nazywa się Holandia. I że panuje tam królowa, i że czterysta lat temu odkryto Australię i Tasmanię, którą nazywano beczelnie Nowa Holandia, że Nowy Jork to nic innego jak Nowy Amsterdam, choć historia geografii –demokratyzując się – skasowała wiele nazw czysto holenderskich, nazewnictwo i wymowa pozostały do dzisiaj; a może i na dalsze wieki pozostanie Kapsztad i Vancouver. Kompanie Wschodnia i Zachodnia czerpały od każdego statku, od każdej osoby tak szalone, horrendalne myto, że biedni „robotnicy” w XVII wieku musieli budować domy zdobione złotem, bo musiały „się błyszczeć”, jako że w Wenecji Północy trochę było za mało Daru Bożego, słońca. Ciągnać przez lata ogromne zyski, złoto, srebro i pieprz oraz wszystkie przyprawy „piekące gardła” – w wyniku tego ostatniego udoskonalili się i rozwinął język kulturalny niderlandzki (my po polsku – powtarzam: po polsku, mówimy potocznie „holenderski”, aczkolwiek nie jest to, *sensu stricte*, to samo), język znany z niemiłosiernego charczenia, (o Boże, wybaczyć) opluwania współbraci, wymowy suchotnika, wymawiającego ostatnie pragnienie przed skonem, oraz resztek pojezuicko-iberyjskich pogroźek intonacyjnych. Taki oto warunek postawił „pan” PLO swoim kandydatom na zaszczytne stanowisko następcy Eryka Kulma (oficera rozrywkowego) na pokładzie naszego transatlantyku. Któż by miał czelność opanować ten język wroga, który stanowił nieprzekraczalną barierę dla przeciętnego zjadacza chleba w PRL-u okresu gierkowszczyzny? I tu – bijąc się cały czas w piersi – muszę wyznać, że ja dokonałem tego zbrodniczego czynu. A w jaki sposób: przyczyn było wiele. Pierwszą przyczyną „karygodnego niedbalstwa” moich śp. Rodziców było to, że rodzina po stronie ojca pochodziła z Niderlandów. Dzisiejszy uczony amerykański – ten od dzieci „na zamówienie” – rzekłby: względ psycho-genetyczny. Proszę odeśłać „materiał zarodkowy” do Gene-(tronic) Inc. LTD., czek na ileś tam zer zdeponować w banku Silberstein i S-ka z o.o. – za dziewięć miesięcy „zmajstrujemy małego Holendra”. Teraz, z perspektywy

czasu – w moim osobistym przypadku wcale nie było to takie proste. Mój holenderski dziadziś nigdy nie pretendował do mistrza pięknej polszczyzny, natomiast zachował się poprawnie w stosunku do władz „pojałtańskich” i z godnością odszedł na tamten świat w roku 1941, czyli dobrych kilka lat przed pojawieniem się na tym ziemskim padole wnusia (czyli mnie). Babcia moja – o ile nie myli mnie pamięć – nigdy nie pałała miłością do holenderszczyzny, mając na uwadze fakt, że była Cyganką (Romką) i częściej ukazywała swój gorący temperament w lżeniu dziadziusia po cygańsku niż w ogóle w jakimkolwiek innym języku. Dla godności tego zeznania dodaję, że gdy kończyły się możliwości lingwistyczne moich wcześniejszych protoplastów, to wynikiem swoistego consensusu był mój tatuś – i podobno paru jeszcze wujków – który przyszedł na świat akurat w pierwszym roku wieku XX... Gwoli ścisłości historycznej: moje nazwisko rodowe (według dokumentu rodowego) było wieloczłonowe z charakterystycznym „van” – van Suylenborgh van Beeningher, do odczytywania do dziś na cmentarzu na wyspie Jawie (tej prawdziwej – nie sennej). Mój tatuś zaś w roku 1944 był łaskaw postradać ów dokument rodowy, gdy „niegrzeczni chłoptasie” z SS i Wehrmachtu, wspomagani dzielnie przez Ukraińców, spalili dom na Chłodnej 44, w którym mieszkali moi bezpośredni protoplaści podczas „Historycznej Epopei Warszawy”. A więc wielki pisemny dokument moich przodków uniósł się z dymem pożarów. Mój Ojciec, warszawski adwokat, nie zdradzał bynajmniej talentów „niderlandystycznych” – jednakowoż, gdym zaczął podraść w szesnasty lub siedemnasty rok życia (tu obudził się zew krwi), z wielką adwokacką zręcznością (dziś byśmy to nazwali – nos porucznika Columbo) znalazł w Warszawie kolegę, który wskazał mu adres biura tłumaczeń na Kruczej, gdzie „ktoś” zna holenderski – i po długich pertraktacjach mógłby udzielić mi lekcji (za tatusine na owe czasy pieniądze).

W taki oto sposób dostałem się do pani Floriny de Bruijn-Pawelec, najwspanialszej w historii holenderskiej Polki. Faktem jest, iż podczas pierwszego spotkania „błysnąłem” przed nią znajomością wojny światowej prowadzonej przed Holandią z „Japsami” w 1941 r. na wodach Pacyfiku, podczas której pierwszy jej mąż,

wówczas dowódca holenderskiej kanonierki, zginął śmiercią marynarza, zatopiony u brzegów Indonezji. Faktem jest też, że nie za-
błysnąłem wtedy dobrą holenderszczyzną. Tak więc owa pani Flora,
włączając swoją „nadtroskliwość” – prawie że matczyną, wpoila we
mnie w ciągu kilku miesięcy zasady holenderskiej gramatyki, innej
zupełnie od niemieckiej czy angielskiej, a na równi skomplikowanej
(ach, te siedem grup nieregularnych czasowników – God verd. . .),
nauczyła mnie poprawnej, gardłowo-zapaleniowej wymowy, opowie-
działa tysiące historyjek, co wzbudzało mój młodzieńczy entuzjazm
i nieplonną chęć związania swego życia z Holandią. Tak też się sta-
ło – niezależnie od tego, czy byłbym na „Stefanie Batorem”, czy
nie – ale to już zupełnie inna opowieść – też pełna dramaturgii
i przygód. Na marginesie powiem, że tzw. holenderska część życia
uwypukliła moje tęsknoty, aby chwycić za pióro (komputera), ra-
czej w stylu Josepha Conrada-Korzeniowskiego, coś w rodzaju *Sza-
leństwa Almeyera* końca XX wieku, podczas gdy praca na statku,
oczywiście z perspektywy czasu – uwierzcie lub nie – przypomina-
ła mi jakby rolę p. Rzeckiego, którą odgrywałbym w PRL-owskiej
i PLO-wskiej jednocześnie *Lalce* Bolesława Prusa. Z przecudownym
zjawiskiem mojego młodzieńczego życia – lekcjami holenderskiego
p. Floriny – wiązał się inny kłopot natury, powiedziałbym, czysto
geograficznej. Otóż pp. Pawelcowie – pani Florina z mężem i dwój-
ką synów – mieszkali w Piasecznie. Latem czy jesienią nie było
kłopotów, ale konia z rzędem temu, kto w końcu lat 60. zechciałby
w śnieżną i mroźną zimę zacząć lekcję o osiemnastej, a zakończyć
o dziewiętnastej trzydzieści i powrócić do Warszawy jeszcze tego
samego wieczora. Były to odległe czasy, pamiętam, że archaiczna
„ciuchcia” z początku XX wieku jeszcze najdzielniej broniła się
przed zimą, gdy autobusy miejskie czy PKS dawno były już zasy-
pane białym puchem. Często też w nocy wędrowałem przez jaśnie-
jącą śniegim szosę wzdłuż przysypywanych nitek żelaznej drogi,
ciuchci, do przystanku na Wyścigach Konnych – na piechotę! Ów
szaleńczy, niemalże syzyfowy wysiłek opłacił się sownie. Poznałem
poprzez prawdziwą Holenderkę, być może kierował mną zew krwi
– tajniki holenderszczyzny, jak to zostało parę lat później trafnie,
niewiele „grubiańsko” skwitowane przez słynnego intendenta „Bato-

rego”, Henia Szenka. Tak oto przedstawiłem „duchowe zakamarki” posiadania dosyć rozległej, jak na owe czasy, wiedzy językowej – element, który wpłynął na mą decyzję, by wziąć udział w konkursie na stanowisko oficera rozrywkowego na „Stefanie Batorym”, rozpi-sany w Roku Pańskim 1970.

Nie jest to jeszcze koniec mojej spowiedzi. Warunki główne – języki – zostały już „wyspowiadane”. Mogły być też inne przeszkody, z których nie zdawałem sobie jeszcze wtedy sprawy. Mogło być słabe zdrowie – do tematu powrócę, gdyż i ta przeszkoda w drodze do „rozrywkowego” nie została mi oszczędzona.

Mogły być przyczyny natury osobistej – boć to przecież trudno się dziwić, że dwudziestoparolatek mógłby być zakochany – i był – miłością jedyną, niezastąpioną i niepowtarzalną. O sprawach miłości przez małe i duże „M” znajdzie się jeszcze sporo opowiadań w tej książce, ale zostawmy to na później. W moim konkretnym przypadku – w owych czasach kochałem się – kochałem, tak jak kochać się powinno i jak to było najbardziej naturalnie dane mi przez Stwórcę i młode, niezbyt jeszcze jurne, na starość wybujałe marzeniami życie. Przecież pamiętacie, Czytelnicy, że na stronach tego rozdziału wspominałem, że babka moja była Cyganichą... To, że potem moje nadprogramowe miłości stały się zwykłym, brutalnym „casanowizmem”, to rzecz normalna na statku pasażerskim, wtedy jednak Elżbietę kochałem miłością normalnego, warszawskiego szczura lądowego. Elżbieta była i jest kobietą wielkiego serca. W czasach mojej wczesnej młodości poznaliśmy się na wspólnej nauce języka angielskiego „u Metodystów”. Chodziło mi wtedy nie tyle o tajniki literatury „wielkiego Mistrza” ze Stratford-on-the Avon, ile o te niezapomniane majowe, upojne, pachnące bzem wieczorne spacer-y i lody w „Palermo” na Mokotowskiej. Nasza znajomość i miłość z Elżbietą – w starszym wieku pisząc słowo miłość, trzeba być już uważnym, by się nie ośmieszyć – trwała lata i była w „gorącym” stadium, gdy Elżbieta dowiedziała się o mojej przygodzie z ogłoszeniem w „Expressie Wieczornym”. Jak większość kobiet świata – nie była pod tym względem wyjątkiem – zareagowała z dosyć dużą rezerwą. W procesie myślowym ludzi łądu morze lub praca na statku kojarzą się z brakiem dyscypliny moralnej, inaczej mówiąc

z rozwiązłością, co mogłoby zepsuć każdy układ partnerski. Dlatego też Elżbieta była pełna dystansu, zresztą nigdy nie wierzyła, iż „pan PLO” zechce dać odpowiedź na moją ofertę pracy na „Stefku”. Twierdząc, iż na to miejsce zgłoszą się tysiące, miała absolutną rację. Nie miała zaś racji, gdyż „pan PLO” odpowiedzi udzielił. . .

Zanim jednak dojdę do tej zbożnej chwili, opowiem jeszcze w telegraficznym skrócie reakcję ojca Elżbiety. Znamienity ten człowiek, miły mej pamięci, jak również „z lekka kresowa Mama”, patrzyli z podziwem na mój szalony zryw ku karierze marynarskiej. Ojciec Elżbiety był zawodowym dyplomata, „odsiadującym po ileś tam lat” w zagranicznych krajach; w momencie, gdy miałem zostać marynarzem, był jakimś tam działaczem od RWPG (pamiętacie młodzi ludzie z nauki historii, jak to dobrze ludziom żyło się za czasów tow. Gierka). Reakcja ojca Elżbiety była znamienita i teraz powiem szczerze, iż po niej kilka nocy z rzędu źle spałem. Rzekł on wtedy: „Czeka cię, chłopie, wielka kariera, od oficera rozrywkowego na »Stefanie Batorym« możesz szybko dojść po szczeblach dyplomacji na szczyty – a może nawet, krok po kroku, do I sekretarza partii”.

Rzeczywiście – parę nocy po tej wypowiedzi nie spałem za dobrze. . . Stało na tym, że moje życie osobiste, reprezentowane na one czasy przez piękną Elżbietę, było utrudnione – jakże zrozumiałym – sceptycyzmem.

Największym jednak czynnikiem zbliżającym człowieka do wytkniętego celu była bujna młodość – i ta mnie pchała nieprzeparcie ku dalszym losom na morzu. W tym też czasie znałem wielu wspaniałych ludzi nieba, ludzi, wśród których spędziłem po „Stefku” ponad dwadzieścia lat życia – niektórzy z nich do dziś jeszcze służą na wielkich odrzutowcach PLL LOT. Ci, dowiedziawszy się o moich wyczynach ogłoszeniowo-„batorowskich”, starali się mnie z jednej strony utrzymać przy „umysłowej dewiacji lotniczej” (przy miłości do lotnictwa pasażerskiego), z drugiej zaś strony wyśmiewali moją rzetelność – niezupełnie wtedy jeszcze lotniczą – z tytułem „rozrywkowy”. Wtedy też kapitan Edward Makula (wielka sława historii polskiego lotnictwa) wspomniał coś o „rozgrywkowym”, a nie rozrywkowym. Wielu kolegów „podniebnych dróg” kwestionowało moje aspiracje morsko-rozrywkowe, gdyż w istocie rzeczy Bóg nie

obdarzył mnie wielkim wzrostem, a ujmując rzecz trywialnie – metr pięćdziesiąt „w kapeluszu”. Zresztą wielu moich przyjaciół z LOT-u było takimi samymi romantykami morza i powietrza jak ja oraz śp. pan Ignacy Rzecki z *Lalki* Prusa. Pamiętam, że 14 marca 1980 roku wiele z tej czary romantyki lotnictwa „sowieckiego” prysło wraz ze szczątkami „Kopernika” na kilkanaście sekund przed progiem pasa warszawskiego Okęcia.

Niesłusznie, na owe czasy, wyśmiewali się moi koledzy-lotnicy z moich uzdolnień kulturalno-artystycznych. Jak już opisywałem, moja wspaniała śp. Mama odebrała wszystkie przynależne jej kano-ny wychowania końca XIX wieku. Dojrzewała w dobrobycie arystokracji okresu zaborowego, zdobyła ona poza językami również fantastyczne wykształcenie muzyczne. Nie tylko że dysponowała wspaniałym sopranem, ale również świetnie grała na fortepianie i była wielką wielbicielką muzyki klasycznej. Całe jej życie młodzieńcze było jednym wielkim pragnieniem śpiewu, tańca i muzyki, a ukoronowaniem tego były wielokrotne tańce w pierwszej parze z „dziadkiem” Piłsudskim w okresie II Rzeczypospolitej. Pozostała mi po Mamie miłość do muzyki klasycznej, pewnego rodzaju rozumienie muzyki, dobre maniery, kindersztuba i cała masa walorów, potem tak ładnie ocenionych przez późniejszego mego przyjaciela, Eryka Kulma, i cały klan bardzo oświeconych i inteligentnych Kulmów. Miałem więc predyspozycje. Mój niski wzrost deprymował mnie przy tańcu, gdyż – tu powiem szczerze – każda, ale to przeważnie każda partnerka przewyższała mnie o głowę (co najmniej o jedną), ale to, jak się okazało w praktyce (po)życia na „Stefku”, nigdy nikomu nie przeszkadzało. Zresztą sam mistrz Eryk Kulm był raczej niski, mego wzrostu – i na owe czasy korpulentny – tego ostatniego mi wtedy nie przypisywano. Mój wzrost – będący niczym innym, jak tylko darem Bożym – stał się też przyczyną wielu niefortunnych, komicznych i żenujących wręcz *faux pas* PLO w dalszych staraniach o „idealnego” kandydata na stanowisko oficera rozrywkowego. Tyle mego wyznania przedwstępного, tytułem zorientowania Czytelnika o moich wątpliwościach, blaskach i nadziejach związanych z pracą u „pana PLO”.

Zdawałem sobie doskonale sprawę z faktu, że nie byłem człon-